

# Szkoła buja w obłokach

Jan Hartman\*

Gazeta Wyborcza 2009-04-09, ostatnia aktualizacja 2009-04-09 15:57

**10 procent studentów to analfabeci, zdolni jedynie zapisać ciąg znaków, bez wielkich liter, bez kropek, bez sensu**



Fot. Radosław Józwiak / AG

5 maja 2008 r., egzamin maturalny w XXI LO im. Bolesława Prusa w Łodzi



Fot. WOJCIECH MATUSIK / AG

Jan Hartman, profesor filozofii z Uniwersytetu Jagiellońskiego

O czym my w ogóle mówimy?! Oto co przychodzi mi do głowy za każdym razem, gdy stykam się z wywodami przedstawicieli władz edukacyjnych rozprawiających niezmiennie o wielkich reformach, którym poddawane jest bądź ma zostać poddane nasze szkolnictwo. O czym my w ogóle mówimy?! Przecież każdy, kto ma do czynienia z młodzieżą szkolną lub z taką, która właśnie zdała maturę, doskonale wie, że stawką w grze nie jest żadne "przygotowanie młodego człowieka do życia w nowoczesnym społeczeństwie", żadne "wyrabianie umiejętności samodzielnego krytycznego myślenia" ani tym bardziej "orientacja w podstawowych gałęziach wiedzy, umożliwiająca dalsze samodzielne kształcenie się i rozwój intelektualny". Stawką w naszej grze jest po prostu upowszechnienie umiejętności czytania i pisania.

Nie wiem, jaki odsetek absolwentów szkół średnich w Polsce umie napisać poprawnie kilka zdań po polsku. Wiem, że wśród studentów

na pierwszych latach studiów jest to nieco ponad 50 proc. Wśród tych, którzy nie umieją pisać, większość po prostu nie zna ortografii, gramatyki i interpunkcji, ale od biedy może się wysłowić. Być może w fantasmagoriach w rodzaju "profil absolwenta szkoły podstawowej", śnionych przez specjalistów od metodyki nauczania, osoby te odpowiadają kandydatowi do gimnazjum, choć i w to wątpię. Oprócz półanalfabetów mamy jednak wśród studentów analfabetów prawdziwych. Jest ich z pewnością nie mniej niż 10 proc. Osoby te zdolne są jedynie zapisać ciąg kulfonów nieukładających się w zdania, ze szczytkową strukturą gramatyczną, bez wielkich liter i kropek, bez podmiotów i orzeczeń, bez sensu. Są to absolwenci polskich liceów i techników, posiadacze matur, starych bądź nowych, bez różnicy.

## Ściaga dobra na wszystko

Wykładowcy szkół wyższych wiedzą doskonale, że większość studentów nie ma żadnej, najskromniejszej nawet, wiedzy na żaden temat, a część nie umie czytać (duka bez zrozumienia) ani pisać. Dlatego nie ma nawet mowy o tym, żeby jakiś wykładowca, na przykład nauczyciel matematyki na politechnice, poniechał wykładania najbardziej nawet elementarnej wiedzy, zakładając, że student już ją posiada. Wykłada się zawsze wszystko od zera. Gdy zaś przychodzi do zaliczeń, każdy wykładowca, wiedząc, że normalne zdawanie, zgodne z wymogami programu studiów i powagą uczelni oraz dyplomu, oznaczałoby odsiew większości studentów, musi pogodzić się z koniecznością udzielenia zaliczeń tym 70 procentom "studentów", którzy niczego bynajmniej nie studiują, w życiu nie przeczytali żadnej książki ani bynajmniej nie mają takiego zamiaru. Jak to zrobić, skoro w najcięższych przypadkach chodzi po prostu o analfabetów? Po pierwsze, trzeba wprowadzić zaliczenie na podstawie prac pisemnych, czyli tzw. referatów. W zdecydowanej większości (zdarzało mi się, że w 100 proc.) będą to plagiaty (ściągnięte z internetu bądź napisane na zamówienie), na co oczywiście należy przymknąć oko, aby swój cel - zaliczenie zajęć prawie wszystkim studentom - osiągnąć. Druga metoda to testy. Konstruuje się test w taki sposób, aby tylko niedorozwinięty umysłowo mógł go nie zdać. Test taki nie wymaga umiejętności pisania, a i sprawdza się szybciej. Tak czy inaczej zaliczenia będą rozdane, a etat wykładowcy, na prywatnych uczelniach zagrożony w przypadku zbyt dużej liczby postawionych dwójek, uratowany.

Wiem, wiem - są też inne licea i inne uczelnie. Ja jednak nie mówię dziś o poezji, lecz o prozie. Nie chodzi mi o "pełny obraz" ani "wielostronne ujęcie problemu", lecz o powiedzenie głośno prostej rzeczy: większość młodych posiadaczy polskiej matury, a w tym większość nowych studentów, kompletnie nic nie umie, a co gorsza - nauczona jest w szkole oszukiwania i ściągania. Kto pragnie ze mną polemizować, niechaj pamięta, jaka jest moja teza i na czym ją opieram.

A opieram ją na wieloletnim doświadczeniu z uczeniem 19-latków, absolwentów liceów. Doświadczenie to jest coraz bardziej przygnębiające. Jeszcze dziesięć lat temu zadawałem studentom rozmaite pytania odnoszące się do podstawowej wiedzy szkolnej, a potem utyskiwałem na szkoły, że niczego nie uczą. A wyglądało to tak, że pytałem o coś, na przykład o prawo Ohma albo Archimedesesa, albo o Austerlitz, albo o cokolwiek w tym stylu i zwykle na kilkanaście osób odpowiedź znana była jednej czy dwóm. Mówiłem wtedy z cierpkim uśmiechem: "Wprawdzie przeciętny absolwent nie umie nic, ale zbiorowa mądrość grupy studentów jest wielka". Otóż te czasy się skończyły. Dziś moje pytania kierowane do studentów I roku nie mogą już dotyczyć wiedzy szkolnej. Przypominają raczej quiz z pytaniami za 100 zł z "Milionerów". Po jakimu mówi się w Argentynie? XII wiek - jaka to epoka? W jakim kraju leżą Ateny? Co to jest ZSRR? Kiedy była I wojna światowa? I znowu jest tak samo - ogromna większość nie wie, ale prawie zawsze znajdzie się w grupie ktoś, kto wie. Tylko że pytania się zmieniły

## "Heraklit żywił się trawom"

Ja też muszę dawać zaliczenia. Też imam się wspomnianych metod, z wyjątkiem świadomego akceptowania plagiatów. Urządzam za to egzaminy pisemne. Polegają one na tym, że wytypowani studenci piszą ściagi, a reszta je przepisuje na egzaminie, nie bacząc specjalnie na treść pytania. Ściaga znaczna większość, jakkolwiek zwykle z dwóch, trzech wzorów. Dlatego w pracach egzaminacyjnych powtarzają się te same treści u kilkunastu osób (nie licząc odkształceń wynikających z niezrozumienia lub niezdolności do odczytania tekstu ściagi, takich jak "japońska filozofia przyrody", zamiast "jońska filozofia przyrody", żeby posłużyć się nagminnym przykładem). Niedawno, sprawdzając prace egzaminacyjne z historii filozofii, miałem okazję przeczytać kilkanaście razy zdanie: "Heraklit żywił się trawom i innymi roślinnościami". Niechby zdanie to wykuto w portyku Ministerstwa Edukacji w alei Szucha. Żeby wreszcie zeszło na ziemię i przestało produkować fantastyczne programy nauczania i bajeczki o "wszechstronnym rozwoju osobowości", "samodzielności myślenia", "nowoczesnym społeczeństwie informatycznym" itp.

Z jakichś powodów polskie szkoły nie tylko mało kogo czegoś nauczyły, przynajmniej w ostatnich dwóch dekadach. Gdy już bowiem mimo wszystko nauczyły, to najczęściej nauczyły źle. Lekcje szkolne często wyglądają jak parodie dyskursu naukowego. Siłą się na naśladowanie języka i sposobu ujmowania zagadnień właściwego dla poszczególnych dyscyplin akademickich. Tak oto na polskim rosną mali teoretycy literatury, na historii - mali historycy, na biologii - mali biologowie. Jest to niemądre, pretensjonalne, irytujące. A nade wszystko krzywdzące dla uczniów. Bufonada niektórych "metodyków", "twórców programów" oraz naszego zakompleksionego i niedowartościowanego polskiego szkolnictwa przeistacza się na lekcjach w teatralną hipokryzję. Zamiast poczciwego nudziarstwa szkoły, która niegdyś kazała dzieciom na słowo uwierzyć, że "Słowacki wielkim poetą był", dzisiejsza szkoła każe się uczniom "staromaleńko" wymądrzać o "sytuacji społecznej" i "uwarunkowaniach politycznych i historycznych", nie mówiąc już o "środkach literackich", "zabiegach formalnych" oraz "nawiązaniach i parafrazach". I to wszystko zamiast poczytać z uczniami coś, co naprawdę może do nich przemówić, a potem całkiem bezpretensjonalnie z nimi o tym porozmawiać. Co to, to nie. Do głosu dojsz musi fałszywy do szpiku kości, przemądrzały, pseudonaukowy potworek, którego niczym maskotki licealni prymusi przynoszą za sobą na uniwersytet. Tam oczywiście też jest dużo wymądrzania się, ale przynajmniej ze zrozumieniem i odrobiną samokrytycyzmu.

## Wiedza niechciana

Uczniowie wychodzą ze szkoły z właściwym wszystkim ignorantom przekonaniem, że bardzo wiele umieją. Jednocześnie przez wiedzę rozumieją przypadkowe wiadomości, które nic ich nie obchodzą, z niczym się im nie kojarzą i do niczego nie wydają się im przydatne. Tak to widzą. W istocie nie mają żadnych wiadomości ani nawet mglistej intuicji, czym mogłyby być wiedza i wykształcenie. Owo bez ustanku powtarzane przez uczniów "po co mam się tego uczyć?" (dziś dodają, poniekąd słusznie: przecież wszystko mogę zawsze sprawdzić w sieci) doskonale oddaje kompletną porażkę systemu edukacji nie tylko w samym nauczaniu, ale we wzbudzaniu w umysłach młodzieży jakiegś ogólnej idei wykształcenia i ambicji, aby być mądrzejszym niż się jest. O nie, że szkoły każdy wychodzi dostatecznie mądry, a gdyby na uczelni kto śmiało podważył tę świętą prawdę, zaraz pójdzie na dywanik do dziekana, skutkiem skargi urażonych w swej godności studentów. Ba, można mieć nieprzyjemności nawet podważając plagiaty, gdyż znaczny odsetek studentów nie ma najmniejszego pojęcia, że ściąganie jest naganne - szkoła nauczyła ich wręcz czegoś odwrotnego. Doprawdy, działające na niezliczonych polskich uczelniach "socjologie" i "pedagogiki" gromadzą w większości nie studentów, lecz materiał do socjologicznych i pedagogicznych analiz. Część z nich może i powinna dotyczyć tragedii szkolnictwa. Czy tylko polskiego? Nie, dokładnie to samo dzieje się w **USA**, we Francji czy w Izraelu, gdzie piszę te słowa (i gdzie głośno mówi o tym problemie premier). Jest to bodajże jakaś głębsza "choroba dewaluacyjna", w wyniku której zapewne ulegną transformacji i przewartościowaniu pojęcia wiedzy, wykształcenia, a nawet inteligencji.

O tych wielkich cywilizacyjnych procesach, które prowadzą szkolnictwo do upadku, nie mam nic mądrego do powiedzenia. Mam jednak prosty sposób na doraźną poprawę sytuacji. Czy nie można by tego samego quizu, który ja bez powodzenia przeprowadzam na studentach pierwszego roku, przeprowadzić na maturze? Właśnie to proponuję: poprzedzić kierunkowe egzaminy maturalne elementarnym testem zawierającym najprostsze pytania z różnych dziedzin życia, pytania, na które powinien umieć odpowiedzieć absolwent szkoły podstawowej. Do dalszych etapów matury dopuszczano by tylko tych, którzy taki test zdadzą. Byłyby to pytania w rodzaju "czy równnik ma: a) 6000 km, b) 40000 km, c) 70000 km" albo "Goethe był: a) Niemcem, b) generałem, c) świętym". Może dla dobrych uczniów byłoby to deprecjonujące, ale i oni przecież woleliby nie dzielić tytułu maturalisty z kompletnymi nieukami. Jest oczywiste, że jeśli maturę ma zdawać 80 proc. młodych Polaków, to musi to być egzamin dostosowany do poziomu umysłowego znacznie poniżej przeciętnej. Musi być do zdania dla osoby wręcz co nieco ociężałej umysłowo. Ale nawet takie osoby mogą, jeśli się do tego zmuszą, czegoś się nauczyć w ciągu dwunastu lat. Proponowany przeze mnie test byłby takim musem. Obawiam się jednak, że testu nie będzie - oblałaby go połowa maturalistów, pokazując - tym razem metodą naukową - że król jest nagi. A przecież umówiliśmy się, że jest inaczej.

Jeśli to, co tu napisałem, nie dotyczy części szkół i części studentów, to żadna w tym pociecha. Przeszanę bić na alarm, gdy relacjonowane przeze mnie zjawiska będą czymś marginalnym. Do tego jednak bardzo jeszcze daleko. Tymczasem namawiam polityków, nauczycieli, rodziców i samych licealistów do podjęcia narodowej debaty o ratowaniu polskiej szkoły. Dyskusje na temat sześciolatków, listy lektur obowiązkowych i kilku innych spraw szczegółowych debaty takiej nie zastąpią. Chodzi tu bowiem o same fundamenty systemu edukacji, które, położone przed dziesiętkami lat, wydają się dziś niebezpiecznie zapadać.

*\*Jan Hartman, profesor filozofii z Uniwersytetu Jagiellońskiego*